

MARIVAUX — CZYLI O POTRZEBIE „CZYSZTEJ WODY”

Przedzierając się przez „chaszczę” szarej, tramwajowej rzeczywistości, najczęściej zdarza nam się przysiaść na moment w „ardeńskim gaju” spokoju i pogody, aby przy zwyczajnym, czystym strumieniu, w pulsującej ciszy, odetchnąć świeżym powietrzem sztuki, dającej przyjemność zapamiętania o dudniącej za nami „chaszczy”. Te możliwości oddechu, te oazy wśród jednostajnie szarej przestrzeni naszego życia — tak ulicznego jak i artystycznego — ofiarowuje nam od czasu do czasu teatr i za takie prezenty powinniśmy być mu wdzięczni. Każdy z nas odczuwa często potrzebę takich łagodnie brzmiących, w pastelowo-radosnych kolorach spektakli teatralnych, w których czas mija niepostrzeżenie, a nocą, po powrocie do domu, nie męczą koszmarnie sny. I to właśnie ostatnio zapropomował Teatr Ziemi Łódzkiej, pozwalając nam na dwie godziny spocząć w cieniu „starego” Marivaux przedstawiając jego — opartą na jakże prostym i ograniczonym w ciągu setek lat schemacie przebiegankowym — komedię pt. „Igraszki trafia i miłości”. Wszystko to wydaje się oczywiste i jasne, ale nę sposób uwolnić się od pytania: Czego wymaga osiemnastowieczny Marivaux od teatru drugiej połowy wieku dwudziestego? Myślę, że ogromnego szacunku i pietyzmu, a to jest możliwe do osiągnięcia przede wszystkim poprzez wielką dyscyplinę aktorską i warsztatową maistrów. Z dyscypliną aktorską (poza nielicznymi wyjątkami) ogólnie w naszych teatrach nie najlepiej, a co do maistrów, to proponuje... chwilę pomilczmy.

Z tego wynikające refleksje, skłoniły mnie do głębszego zastanowienia się nad spektaklem przygotowanym przez MARYNĘ BRONIEWSKĄ. Przygotowanym z rzadko spotykaną już dziś subtelnością i finezyjną dbałością o szczegóły.

Wyobrażam sobie, co działoby się na maleńkiej scenie Teatru Ziemi Łódzkiej, gdyby reżyser „wpadł na pomysł”. Na szczęście „nie wpadł” za co serdeczne dzięki, bowiem „Igraszki trafia i miłości” muszą po prostu pozostać igraszkami teatralnymi w całym, dobrym tego słowa znaczeniu. I tak też się stało. Marivaux został ocalony, a widz, przy pomocy skromnych, a jakże precyzyjnie zastosowanych środków reżyzerskich, wprowadzony do owianego dyskretnym nie nachalnym humorem salonu, gdzie na pierwszym miejscu odnajduje dawno już dziś zapomnianą elegancję. W atmosferę tę wprowadza już na samym wstępie przekornie idylliczną scenografię, pełną kolorowych kwiatów i zieleni wiosennego ogrodu, tym intensywniejszej, że na tle wielkiego, ciemnego, jednobarwnego prospektu przedstawiającego osiemnastowieczny plan Paryża. Doskonale to rozwiązane JERZEGO GORAZDOWSKIEGO wprowadza nas w świat beztroski, a jednak dyskretnie przypominający tym szarym planem miasta — molocha, że za delikatnymi sztachetkami ogrodzenia jest świat wyczałajny, pełen niepokojów, nieodgadnionych „korytarzy” i niebezpieczeństw, świat, który wchłonie nas po wyjściu z teatru. Dlatego tym bardziej powinniśmy być wdzięczni Marynie Broniewskiej i zespołowi przygotowującemu pod jej kierunkiem to przedstawienie, za wprowadzenie do prawdziwego ogrodu pana Marivaux. W tym miejscu chciałbym szczególnie poświęcić więcej uwagi dwóm debiutującym w obecnym sezonie w Teatrze Ziemi Łódzkiej aktorkom, a mianowicie JANINIE GRZEGORCZYK i ANNIE GRZESZCZAK (w wypadku A. Grzeszczak jest to w ogóle jej pierwszy sezon teatralny i — odpukać — zapowiadający „schody w górę”). Czytając teksty Marivaux ogarnia nas podświadomie lęk, gdy pomyślimy o

konfrontacji tego koronkowo inkrustowanego, barokowego dialogu z żywym, współczesnym człowiekiem — aktorem. To wymaga niemal „zonglerych” umiejętności i żelaznej kontroli każdego słowa, a gdy do tego dodamy jeszcze gest i sytuację, to nam pozwoli uświadomić sobie, jakiej próbie poddane zostały obie aktorki. Trzeba tu jeszcze dodać, że na dobrą sprawę obie grały tu wbrew swoim naturalnym warunkom, które to warunki w kontekście „Igraszek trafia i miłości” są sprawą wcale niebagatelną i bardzo pomocną A jednak...

JANINA GRZEGORCZYK w roli reżyserskiej pokojówki Lizetty jest w tym przedstawieniu czymś w rodzaju źródła perlącego się jakimś nieuchwytnym dźwiękiem, który jest aktorowi dany, — nie wiem przez kogo lub co? Drobna, a pełna temperamentu, tworzy każdą tego, co ktoś określił „uroczym wyrafinowaniem słownym” czyli tzw. marivaudage. A co najważniejsze, jest to aktorka świadomie „używająca” swej twarzy w każdym spojrzeniu, półuśmiechu i plastycznej wyrazistości, co w zestawieniu z niewymuszona lekkością poruszania się na scenie i doskonałym operowaniem trudną frazą, daje znakomity efekt artystyczny.

Nieco inna, bardziej powściągliwa w środkach wyrazu, jednak niezmiernie wrażliwa na gest i sytuację jest w roli Sylwii ANNA GRZESZCZAK. Aktorka, która ma warunki ku temu, aby doprowadzić swój warsztat do doskonałości, w której wyczuwa się na pierwszy rzut oka to właśnie, co zwykle się określała dyscypliną artystyczną. Nie roni nawet jednego słowa z tego co przychodzi jej przekazać, potrafiąca doskonale utrzymać stosowne tempo, a właściwie dramaturgię dialogu, co w wypadku Marivaux ma ogromne znaczenie.

Myślę, że te dwie młode aktorki, „walczące” ze swoimi warunkami i brakiem zawodowej rutyny, są ozdobą omawianego tu przedstawienia.

Tak się składa, że jest to sztuka napisana jakby parami. Druga, związana tajemniczą zmwą parę tworzą Dorant i Arlekin, czyli ZBIGNIEW BIELSKI i EUZEBIUSZ OLSZEWSKI. Obsadzeni z wielkim wyczuciem ich możliwości, wpisują się w przedstawienie jak gdyby różnymi stylami, a jednak po bliższym przyjrzeniu się ich grze, można

stwierdzić, że taka różnorodność służy doskonale Marivaux. Obaj świadomie wykorzystują swoje „słabości”. — Z. Bielski swoją miękkość w podawaniu tekstu i jak gdyby pozorną nieśmiałość, zaś E. Olszewski ogromną witalność i siłę ekspresji, która chociaż z trudem lecz konsekwentnie trzyma w ryzach przez całe przedstawienie, wprowadzając do niego doskonale wyważony element „dyskretnej rubasznosci” nie odbijającej jednak od całosci spektaklu, a nawet powiedziałbym bardzo momentami w nim potrzebnej.

Para trzecia — również „spiskująca” — to Orgon, ojciec Sylwii i jej brat Mario, Orgon w wykonaniu MARIANA HARASIMOWICZA, jak przystało na wyrozumiałego ojca lubiącego jeszcze pogliwować, jest pełen ciepła i poczucia dowcipu, i w takim charakterze, nie przesadzając w stosowaniu środków aktorskich stara się utrzymać

ANDRZEJ BLASZCZYK w roli Maria. Siedzący obok mnie kolega narzekał w antrakcie na brak świergotu ptactwa w Orgonowym ogrodzie, ja zaś czekałem na „petarde” w trzecim akcie. Miałem nadzieję, że wybuchnie ona („petarda”) w specjalnie na finał napisanej przez Andrzeja Jędrzejewskiego piosence. Obaj docekaliliśmy się połowicznie. — kolega wypchał w postać częściowego strip-tease'u Arlekina i jego pana. Co do piosenki, została ona niestety „zglajszachtowana” niezbyt starannym odśpiewaniem i odniosłem wrażenie, że nie starczyło już pomysłu (a tu właśnie pomysł przydałby się) na jej ciekawie pointująca spektakl incenizację. Trochę mi szkoda trudu autora.

To jednak nie zacięra nieodpartego odczuwa, że obok sztuki docierającej do najmłodszych zakamarków duszy ludzkiej, poruszającej najgłębsze pokłady naszej egzystencji i skomplikowane problemy współczesności, potrzeba nam / od czasu do czasu zwyczajnie „czystej, źródlanej wody”.

ANDRZEJ CZERNY

Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej
„Igraszki trafia i miłości” Marivaux
Reż. Maryna Broniewska
Scenogr. Jerzy Gorazdowski